

63/64

Teatr nr 18

15-30 IX 1964
nowe przedstawienia

BREZA W KRZYWYM ZWIERCIADLE TEATRU

JACEK FRÜHLING

Wyobraźmy sobie, że istnieje rejestr utworów literackich, które należałoby za wszelką cenę ochraniać przed wszechwładną dziś (wobec coraz groźniejszej posuchy na odcinku dramaturgii współczesnej) transkrypcją teatralną. W rejestrze takim prozie Tadeusza Brezy, a zwłaszcza jego szeroko rozbudowanemu opowiadaniu *Urząd*, przypadłoby jedno z miejsc czołowych. Spróbujmy odpowiedzieć na pytanie, dlaczego? Odpowiedź można by sformułować mniej więcej tak: *Urząd* jest utrzymaną w pierwszej osobie narracją o przeżyciach na bruku rzymskim — ściślej mówiąc watykańskim — syna pewnego adwokata konsystorskiego z Torunia. Adwokat ów, w ciągu całego opo-

wiadania niewidzialny, ma jakieś zataragi z biskupem toruńskim, który uniemożliwia mu wykonywanie zawodu. Korzystając z tego, że studiował w Rzymie i wśród wyższych dostojników kurii rzymskiej zdobył sobie licznych przyjaciół, wysłał syna nad Tyber, aby interweniował w jego sprawie. I oto jesteśmy świadkami, jak wszystkie wysiłki podjęte przez syna w celu uratowania ojca od bezrobocia, natrafiają na oschłość, bezdusność i zakłamanie bonzów watykańskich. Nie zmienia tego nawet fakt, że w trakcie tych zabiegów biskup toruński przeniósł się do wieczności.

Jak widać, fabuła utworu, którego akcja rozgrywa się współcześnie, jest do-

syć wątła i uboga. Ale nie w fabule tkwią walory *Urzędu*. Breza, który jako dyplomata spędził kilka lat w Rzymie, daje w swym opowiadaniu świetny opis aury dokoła Watykanu, stwarza ów specyficzny, jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny klimat italski. Osiąga to przy pomocy olśniewająco prostego, barwnego, soczystego języka, którym włada po mistrzowsku, niezwykle obrazowo i, co chyba najważniejsze, lapidarnie. Jak wynika z tego, co się powiedziało, *Urząd* to utwór par excellence epicki, dający przy czytaniu wielką rozkosz.

Nie uląkł się tego epickiego charakteru dzieła zasłużony nasz adaptator, Władysław Krzemiński i przerobił *Urząd* na scenę (prapremiera odbyła się w krakowskim Teatrze im. Słowackiego w lipcu br.). Wziął przy tym niechybnie pod uwagę, że Breza, człowiek od dawna związany z teatrem, w pierwszych latach po drugiej wojnie arcyświetny, błyskotliwy i oryginalny krytyk teatralny, nie oprze się pokusie ujrzenia swego *Urzędu* na scenie. Rachuby Krzemińskiego okazały się słuszne — Breza przystał na dokonany na ciele jego utworu zabieg adaptacyjny. Jakże ta operacja wygląda, w jaki sposób pacjent został zoperowany? Krzemiński całkowicie oderwał *Urząd* od italskiego tła i klimatu. Akcja rozgrywa się wszędzie i nigdzie, pensjonat emigrancki „Wanda” niewiele się różni od komnat watykańskich, od watykańskiej biblioteki. Raz po raz opuszczają się z gór różne, mniej lub więcej abstrakcyjne, rekwizyty, oderwane od jakiegokolwiek rzeczywistości. Zapewne w obawie, że widownia nie potraktuje *Urzędu* jako wielką metaforę, Krzemiński spróbował ukazać tragedię człowieka, zaplątanego w sieć paragrafów, ustaw i przepisów. Tonacja, którą adaptator zastosował do *Urzędu*, sprawia, iż chwilami ma się wrażenie, że przekazywany jest nie tekst Brezy, lecz Dostojewskiego, może nawet Kafki. Takie ujęcie nie znajduje pokrycia w tym, co napisał Breza; gdyby nawet Watykan i Rzym były dlań pretekstem do szerszego uogólnienia, tonacja jego opowiadania niewiele ma w sobie elementów tragedii kosmicznej. Kaliber treści i formy nie wytrzymuje ciężaru, który nań nakłada adaptator.

Nie koniec na tym. W opowiadaniu Brezy nie mała rolę gra fragment, w którym syn adwokata konsystorskiego styka się z pewnym duchownym, niedobrze widzianym w Watykanie. Duchowny ów wprowadza go do wioski Lazaretto, w której obok nowoczesnego szpitala mieści się dawne leprozorium, stare osiedle dla trędowatych, którzy traktowani byli



Teatr im. Słowackiego w Krakowie: „Urząd” Brezy. Eugeniusz Fulde (Profesor Campilli), Janusz Zakrzeński (On), Ewa Stojowska (Paní Campilli), Małgorzata Darecka (Sandra), Andrzej Szajewski (Wiesławewicz)



Scena zbiorowa z III aktu

niegdyś jak umarli za życia. W osiedlu tym rozgrywa się od czasu do czasu coś w rodzaju średniowiecznych misteriów. Breza opisuje jedno z tych widowisk. Nie bez szczypty właściwej jego pióru ironii przedstawia je jako niezbyt zrozumiałą, dłużącą się historię dwóch żebraków, jednego pozbawionego władzy w nogach, drugiego ślepego. Nie rozstają się ze sobą, każdy z nich jest przywiązany do kalectwa, z którego żyje. Kiedy zbliża się cudotwórca, obaj uciekają; nie chcą być zdrowi, kalectwo to ich źródło utrzymania. Obraz, u Brezy raczej marginesowy (wraz z towarzyszącymi mu śpiewami chóralnymi), dał Krzemińskiemu asumpt do rozegrania patetycznego moralitetu o fałszywym miłosierdziu, zakrojonego na skalę Oberammergau, przypominającego groźny pochód żebraków z *Opery za trzy grosze*. I tutaj więc metafora Krzemińskiego nie bardzo przystaje do tekstu Brezy. Jeszcze nie koniec. Breza zaznacza w kilku słowach, że w owym Lazaretto nasz młodzieniec z Torunia pod wpływem dręczących przeżyć zdrzemnął się nieco i miał bliżej nieokreślony sen. Ze snu tego adaptator zrobił coś w rodzaju szatańskiej karuzeli, na której wirują upiorne postacie tych, z którymi nasz poszukiwacz sprawiedliwości zetknął się w Italii.

Jak widać, wizja sceniczna Krzemińskiego zmonumentalizowała *Urząd* ponad miarę; chwilami ma się wrażenie, że ukazano na scenie ludzi średniego wzrostu, odbitych w krzywym zwierciadle, które robi z nich drażli. I jeszcze jedno: polska wysepka emigracyjna, ułokowana w pensjonaciku „Wanda”, ujęta chyba została na scenie zbyt fragmentarycznie; zagubił się — kapitalnie w opowiadaniu Brezy zarysowany — prałat Kulesza, dla którego wszystko, co nie jest emigracją, zalatuje niemal zdradą.

Przejdźmy do realizacji scenicznej. Teatr krakowski dał *Urzędowi* piękną, bogatą ramę scenograficzną, której autorem jest Andrzej Majewski. Mniej udało się stronie wykonawczej. Syn adwokata konsystorskiego z Torunia, szukający w Watykanie nie tylko sprawiedliwości dla ojca, ale również materiałów naukowych dla siebie, nie jest w wykonaniu Janusza Zakrzeńskiego ani intelektualistą, ani człowiekiem przejętym do głębi sprawą, o którą walczy. Mamy przed sobą niezbyt interesującego i mało skomplikowanego narratora, którego perypetie, refleksje i rozmyślenia w niewielkim stopniu nas interesują. Druga wielka rola, adwokata konsystorskiego, profesora Campilli — mydłka, czarusia, typowego Włocha, który niczego nie bierze sobie zbyt do serca, nikomu nie wyrządza krzywdy, ale jest powabnym sybarytą i sobkiem, który wszystko obiecuje a niewiele załatwia — nie znalazła w Eugeniuszu Fuldem najlepszego wykonawcy. Campilli Fuldego nie sprawia wrażenia człowieka Południa; brak mu w tej roli lekkości, wdzięku, bez troski, chwilami ma się wrażenie, że to jakiś mieszczuch niemiecki, siedzący przy stamntischu nad kuflem piwa. Lepiej powiodło się potężnej plejadzie reprezentantów władz watykańskich, których z ogromną wyrazistością naszkicował autor opowiadania. Na czoło wysunęli się tutaj: Tadeusz Burnatowicz, Roman Stankiewicz, Antoni Żuliński. Świątek emigracyjny, żalony w swym dąsaniu się na wszystko, co się dzieje w kraju, usunięty w cień przez reżysera, ukazany został niezbyt ciekawie. Z wyjątkiem Rafała Kajetanowicza, którego emigrant Maliński jest postacią bardzo żywą i ludzką.

Mimo zastrzeżeń i wątpliwości można *Urzędowi* (po dokonaniu skrótów) wróżyć powodzenie, już choćby dlatego, że pozwala widowni na bliski kontakt z autorem *Spizowej bramy*.